

Wczesne dzieciństwo spędziłem w Białobrzegach k/ Augustowa. Tam mój ojciec wybudował dom. Wcześniej był na 5-letnim pobycie we Francji, gdzie ciężko pracował, aby na niego zarobić.

W momencie wybuchu wojny, ojciec był gajowym. Matka zajmowała się domem. Z nami również mieszkała babcia Róża - matka ojca.

Rodzicom powodziło się dobrze. Białobrzegi, ^{były} położone w odległości 2 km od Augustowa, który już przed wojną był znanym kurortem.

Latem przyjeżdżali letnicy, a i zimą można było zbyć każdy produkt rolniczy, w pobliskim mieście. We wsi kwitło życie towarzyskie.

Na krótko przed wojną zbudowano "Dom Ludowy", oprócz tego była restauracja, prowadzona przez p. Gramberga. W latach trzydziestych wróciła z Ameryki, po wielu latach pobytu, siostra babci Róży, Marianna Sokołowska. Była osobą samotną, więc przyłgnęła do naszej rodziny, licząc na opiekę na starość. Od ciotki Marianny, rodzice otrzymali znaczną kwotę dolarów, na zakup parceli budowlanej w Augustowie. Mieli już upatrzoną działkę nad Kanalem Augustowskim, niedaleko mostu, na drodze do Rajgrodu. Tymczasem wybuchła wojna i przerwała realizację wszystkich planów, które zapowiadały się tak pomysłnie. Na początku 1940 roku, pan Dylewski, pracujący jako Sekretarz w Gminie, uprzedził ojca, że znajduje się on na liście, którą Rosjanie sporządzili dla siebie tylko wiadomych celów.

Należy się spodziewać, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Po naradzie rodzinnej, ojciec postanowił, ukryć się na pewien czas. Przez zieloną granicę, udał się do Prus Wschodnich, gdzie często, w latach młodości, doraźnie pracował u miejscowych bauerów.

W swej naiwności sądził, że wystarczy zejść Rosjanom z oczu, skoro to on jest na tej liście.

10 lutego 1940 roku, kiedy w domu znajdowały się dwie, Bogu ducha winne kobiety i ja 3-letnie wtedy dziecko, o szarym świecie, zapukano ostro do drzwi. Na dworze był trzaskający mróz.

Dano nam jakiś krótki czas na zebranie w tobołki niezbędnych rzeczy. Dzięki przytomności umysłu pana Dylewskiego, znalazło się z nami trochę wartościowych rzeczy, które uratowały nas od śmierci głodowej. Najbardziej przydała się główka od maszyny do szycia.

Mama usiłowała zabrać ze sobą dolary, przeznaczone na parcelę, jednak przy wydobywaniu ich ze schowka, jeden z trzech deportujących nas "strielków" zauważył je i odebrał, wydając pokwitowanie

Podróż w nieznaną, szlakiem kibitek.

Po dwóch godzinach, gorączkowych przygotowań tzw. "podwoda", z nami i naszą eskortą ruszyła w kierunku Augustowa.

Stacja w Augustowie znajduje się parę kilometrów za miastem.

Z Białobrzeg, odległych o 2 km od miasta, jest to kawał drogi, było tam już mnóstwo ludzi, co tym bardziej przekonało babcię i mamę, że to nie jest zły sen, a rzeczywistość. Stare kobiety, dzieci, mężczyzn było znacznie mniej, gdyż albo nie wrócili z wojny, albo ukryli się, sądząc, tak jak mój ojciec, że przeczekają zły los.

Po pewnym czasie, załadowano nas w bydłące wagony, poprzędzielane, w połowie wysokości pryzami. Na środku stał żelazny piecyk, który w owe, lutowe mrozy nie zdołał złagodzić uczucia dotkliwego zimna. Wszyscy, a szczególnie dzieci, tłoczyli się przy nim, starając się nie zamrznąć. Kiedy pociąg nagle zahamował, poleciałam na rozżarzony piecyk, przez co do końca tej niesamowitej podróży, miałam na buzi ropiejącą ranę. Co pewien czas, pociąg zatrzymywał się i w wiadrach podawano nam coś, co miało urzędową nazwę "sup", bo w rzeczywistości, to nie przypominało nawet pomysłu z naszego, przedwojennego życia. Głównymi składnikami owej zupy była zmarznęta kapusta oraz brukiew. Wtedy też zabierano mężczyzn, którzy pod stałą strażą przygotowywali drewno na opał na dalszą drogę.

Na postojach ludzie zachowywali się cicho, sparaliżowani strachem, natomiast w czasie jazdy, śpiewali pieśni religijne, najczęściej to była pieśń - modlitwa "Serdeczna Matko". Była ona śpiewana, jak Syberia długa i szeroka, wszędzie tam, gdzie znajdowali się Polacy. Postoje też służyły celom sanitarnym, wtedy bowiem zabierano ciała tych, którzy nie wytrzymali podróży.

Nieboszczycy podróżowali ze swoimi bliskimi czasem parę dni, bowiem 7 000 km, które mieliśmy do pokonania, to ogromna odległość. Ta smutna podróż na krańce świata, trwała ponad miesiąc.

Docelowym punktem podróży była miejscowość, położona w sercu tajgi, gdzieś między Krasnojarskiem, a Irkuckiem.

Patrząc dzisiaj na mapę i wykaz Gulagów, domyślam się, że był to podobóz, należący do zespołu łagrów, podległych zarządowi, dużego więzienia w Kańsku.

Kwitek koło Tajszetu.

Celem naszej podróży okazał się Kwitek koło Tajszetu, położony w Krasnojarskim Kraju, Irkuckiej Obłasti. Zasiadlono nas w drewnianych barakach, gdzie najwidoczniej wcześniej przebywali więźniowie, sądząc po ilości pluskiew, jakie wyłaziły ze ścian. Wzdłuż ścian, były powygradzane małe kajutki, w których zasiedlano rodziny.

W obu krańcach korytarza stały żelazne piecyki, jedyne źródła ciepła. Ściany baraków były wypełnione trocinami, tam właśnie gnieździły się niesamowite ilości pluskiew i prusaków. Nie było przed nimi żadnej obrony, poza fizycznym ich unicestwianiem przez rozgniatanie.

Z pluskami walczyło się również poprzez polewanie ich wrzątkiem. Jedna osoba z rodziny, nocą, zawsze musiała trzymać wartę, aby reszta mogła wypocząć przed wyczerpującą pracą w tajdze. U nas, jako, że byliśmy we trzy, tę niewdzięczną rolę, zawsze pełniła babcia Róża. Baraki były otoczone drutem kolczastym, a do pracy grupy zesłańców chodziły pod strażą. Od obozu można było się oddalać tylko na odległość 25 km i to za specjalną przepustką. Zapamiętałam to, gdyż mama, czasami, aby uchronić nas od głodowej śmierci, wyprawiała się do pobliskich wsi, zabierając coś z przywiezionych rzeczy na wymianę za żywność. Jej powrotu oczekiwaliśmy z babcią, w ogromnym napięciu. Nie wszyscy wracali cało z takich wypraw. Szczególnie mało było warte życie Polaków, przebywających tam na statusie tzw. "zakliuczonych". Karmieni byliśmy zupą z kotła. Masowo umierali mężczyźni. Puchli i umierali klasyczną śmiercią głodową, od ciężkiej pracy i niedożywienia. Choroby nie ominęły i nas.

Obie z mamą zachorowałyśmy na tzw. krwawą dezynterię. Szybko zapękniał się cmentarz na Kwitku. W sposób najbardziej wyrazisty zapamiętałam śmierć kobiety, matki kilkorga dzieci, która, ratującą przed głodem, nazbierała w tajdze grzybów, które potocznie nazywano babimi uszami. Po spożyciu tych grzybów, zmarła w ciężkich męczarniach, gdyż napiła się wody. Grzyby rozpęczniały i rozerwały jej żołądek. Nazwiska tej kobiety nie pamiętam, wiem, że została po niej gromadka dzieci, zupełnych sierot. Jakaś straszna śmiercią zginął również pan Kukliński zdaje się, że się spalił, ale w jakich okolicznościach, to nie pamiętam.

Układy Sikorskiego z Majskim, pozorna wolność.

Po zawarciu Układu między Majskim i Sikorskim, w lecie 1941 r. zdjęto z nas odium "zakliuczonych". Zezwolono deportowanym Polakom osiedlać się w całej Syberii. Wraz z paroma innymi rodzinami osiedliśmy się w Kołchozie "Krasnyj Chleborob", Iłanski Rajon, Krasnojarskowo Kraja. Przyjechałyśmy późną jesienią, więc deputaty żywnościowe dostałyśmy zaliczkowo. Mama, jako jedyna pracująca w rodzinie, musiała je przez całą zimę odrabiać. Szyła odzież roboczą a potem wypiekała chleb na zlecenie kołchozu. Było to wspaniałe zajęcie. Przede wszystkim dlatego, że dowożono nam gotowe drewno z tajgi na przygotowanie chlebowego pieca. Oprócz tego, że było ciepło, udawało się jeszcze wygospodarować malutki, jak bułeczka chlebek tylko dla nas. Nigdy potem tak nie pachniał i tak nie smakował mi żaden chleb, jak tamten na Syberii. W ramach deputatu, dostałyśmy trochę kartofli, kapusty i malutkie, czerwone, rajskie jabłuszka.

Oprócz tego mama szyła, nicowała, sztukowała, dorabiając w ten sposób do naszego utrzymania. Mimo to, nigdy nie wylewało się wody z ugotowanych kartofli, wypijało się ją niby rosółek albo barszcz.

Najgorszy był przednówek. Deputaty się kończyły i często nie było co jeść. Wszyscy z utęsknieniem czekali wiosny. Wiosną, przyroda ratowała nas przed głodem. Pamiętam podpłomyki, pieczone z jakiejś niby mąki, pomieszanej z rozartymi kwiatami konicyzyny. Na łąkach wiosną wyrastały dzikie lilie, których cebulki dało się gotować i jeść, jak również grube trawy o białych kłęczach. Jeszcz tu i ówdzie leżał śnieg, a już biegano się boso, mimo, że chłód parzył stopy.

Zimę spędzało się w walonkach, wiosną nie było co na nogi włożyć, bowiem walonki, czyli wojłoki natychmiast namakały.

Wiosna szybko mijała, lato zaś niosło ze sobą obfitość jagód i grzybów. W tajdze, nad strumieniami rosły dziko czerwone i czarne porzeczki, niebotyczne limby syberyjskie, rodziły ogromne szyszki, pełne wspaniałych orzeszków. Najczęściej z babcią, wyprawiałam się do tajgi po zioła lecznicze i po dziki czosnek, o szero- kich, jak konwalia liściach, które suszyłyśmy, aby mieć z tego przyprawę na zimę i ratunek przed tzw. cyngą. Latem, prawie nie widywałam mamy. Wychodziła w pole o szarym świcie, a wracała o zmierz- chu, ledwie żywa ze zmęczenia.

Dopóki żyła babcia, nie odczuwałam zbyt dotkliwie całodzienną nieobecności mamy. Zimą 1944 roku, gdy stały trzaskające, lutowe mrozy, zmarła babcia Róża. Przez dwa dni mężczyźni, kilofami kopali grób. Syberyjskie mrozy, osiągające często - 50^o, powodowały, że ziemia była twarda niby granit, jakby nie chciała przyjmować ciał tułaczy.

Wkrótce zmarł również nasz sąsiad pan Zagórski. Przed śmiercią spuchł i w moim pięciu dziecka, wyglądał na dobrze odżywionego.

Zimą zawsze spędzałam na wielkim, chlebowym piecu. Tam wszystkie spałyśmy, okryte wszystkimi, możliwymi szmatkami, jakie posiadałyśmy.

Współuczestnicy niedoli.

W naszym kołchozie mieszkało parę polskich rodzin, byli to: Kamińscy / Lodzia, Jadzia, Piotrek i matka /, Smigielscy, chyba we troje, Ziutek był w moim wieku /, Bernatowiczowie, rodzice i dwie córki duża rodzina Zagórskich : rodzice, Antosia, Lodzia, Władek i babcia, Romańczukowie, byli tam rodzice i chyba 2 chłopców oraz Sętkowscy, duża rodzina, która całkowicie wymarła na tzw. galopujące suchoty, wyżył jedynie Czesiek, 12-letni chłopak, którego przygarnęła moja mama. W okolicznych kołchozach, takich jak Dałaj, Czernigowka były inne rodziny polskie, lecz nie pamiętam ich nazwisk.

Właściwie to nigdy nie mieszkałyśmy same. Zaraz po przeniesieniu się do kołchozu zamieszkała z nami pani Kamińska z dziećmi.

Później po wyprowadzeniu się Kamińskich, mieszkaliśmy z Bernatowiczami. Mieli oni dwie córki Helę i Marysię. Pan Bernatowicz był ciągle chory na ischias i często jęczał z bólu, w związku z czym cały ciężar utrzymania rodziny dźwigała na swoich barkach pani Bernatowiczowa. Była nocnym stróżem. Stróżowała głównie tzw. "ambary" czyli magazyny ze zbożem. Pani Bernatowiczowa, aby ratować rodzinę przed głodem, podbierała każdej nocy po trochę zboża, przez wydłubaną przez siebie dziurkę w podłodze. W swojej naiwności nie skojarzyła, że na równej powierzchni, zmagazynowanego zboża, robi się lejek, widoczny z góry jak na dłoni. Wszyscy przeżyliśmy szok, kiedy do naszej chaty, stojącej na skraju wsi, wtargnęła grupa ludzi, aby przeprowadzić rewizję. Wszelkie podejrzenia o podbieraniu ziarna, skierowano na panią Bernatowicz - nocnego stróża. Wpadka wydawała się nieunikniona. Worek, wypełniony w 1/3 ziarnem, stał tuż za drzwiami wejściowymi w sieniach, a raczej w sionce. W momencie wejścia ekipy z rewizją, mama, która otworzyła drzwi, stanęła przy nich i skamieniała ze strachu. Za nią i za drzwiami, znajdował się dowód przestępstwa. Oprzytomniawszy nieco, mama zaczęła w duchu powtarzać litanie " Pod Twoją obronę "

W tej pozycji przetrwała całą rewizję. I mimo, że wszystko zostało przewrócone do góry nogami, nikt nie zajrzał za owe otwarte drzwi. Bernatowiczowie niezwłocznie, przenieśli się do sąsiedniego Dałaju, oddalonego od nas o 7 km. Wcześniej, beżowe pantofelki mojej mamy, zwane przez nią giemzowymi oraz sukienka z jedwabnej kory, posłużyły jako łapówka, złożona sekretarce sądowej w Ikańsku.

Panią Bernatowicz mieli bowiem sądzić za niedozór państwowego mienia. Sekretarka owa poradziła, niezwłoczny wyjazd z miejsca zamieszkania, a przesyłane z Sądu kolejne pisma wręcały z adnotacją, że adresat wyjechał w nieznanym kierunku. Dzięki temu, pani Bernatowiczowa uniknęła więzienia.

Współżycie z Rosjanami.

W kołchozie głodowali wszyscy i Polacy i Rosjanie. Władze kołchozu były gnębione morderczymi kontyngentami na rzecz frontu.

Przewodniczącym kołchozu był Makowiecki, chodziły słuchy, że jego przodkami byli Polacy, zesłani na Sybir podczas powstań narodowych. Jego życzliwość względem nas była ogólnie znana, nie spotkalismy się w tym środowisku z żadną formą dyskryminacji.

Mogliśmy obchodzić swoje święta religijne i kościelne.

Władze kołchozu udostępniły Polakom świetlicę na spotkanie z okazji 11 - go Listopada. Pamiętam, przygotowane z tej okazji, wspaniałe przedstawienie, z krakowiakiem i patriotycznymi inscenizacjami. Po przedstawieniu przew. Makowiecki powiedział dyskretnie mojej mamie, że nieprzebieżnie uczy mnie wierszy o Piłsudskim, gdyż może się tym zainteresować N K W D. Kiedy do kołchozu przychodziła tzw. "pochoronka" / zawiadomienie o śmierci z frontu /, na "pominki", czyli uroczystą kolację, połączoną z opłakiwaniem i wspomnianiem poległego, zapraszano również polskie, samotne kobiety. Po śmierci babci Róży, kiedy mama była w pracy, biegałam samopas po wsi do wieczora. Wtedy często zajmowała się mną, powodowaną dobrą wolą, Rosjanka, babcia Titowa. Karmiła mnie razem ze swoimi wnukami, Ninką i Kolką. gDy zachodziła taka potrzeba, pakowała mnie do balii, aby przywrócić człowieczy wygląd. Najbardziej nie lubiłam operacji z nartą, to jest duszenia za jej pomocą insektów na głowie. Mimo braku narty, babcia Titowa nie żałowała jej na mnie

Tam też Ziutek Smigielski, Piotrek Kamiński i ja, zaczęliśmy uczęszczać do szkoły, gdzie nasza koegzystencja z miejscowymi układała się ^Dporawnie.

Promyk nadziei na powrót.

Chyba w 1944 roku, dotarli do nas przedstawiciele Związku Patriotów Polskich. Powstała pierwsze Koło w naszym środowisku pojawiły się polskie elementarze, z których moja mama, zaczęła nas uczyć liter. Pojawiły się paczki UNRR-a, jako widoczny i namacalny dowód, że świat o nas nie zapomniał. Ja, która już nie wierzyłam dorosłym, że istnieć będzie jakaś Polska, teraz uwierzyłam.

Najbardziej przekonała mnie o tym zawartość paczek, były tam wymarzone trzewiki, kandyzowane owoce, w malutkich puszczykach, koloru khaki, a więc istniał jeszcze inny świat, do którego, być może uda nam się wrócić. Wreszcie, w 1945 roku, dotarły do nas dwa listy od ojca, była to, jak pamiętam, największa radość. Ojciec żył.

W marcu 1946 roku, gruchnęła wieść o formowaniu transportu z Krasnojarska. W połowie marca wyruszyliśmy w podróż do kraju.

Tuż przed samym wyjazdem, zachorowała na żółtaczkę mama.

Nie dała się zabrać z transportu do szpitala, bojąc się, że ja bez niej się zgubię, bądź trafię do domu dziecka. Dzięki litości komendanta transportu, mamy nie zabranę na trasie do szpitala.

Dopiero w Białymstoku mama znalazła się w szpitalu, a mnie zabrał z pociągu ojciec.

Naszego domu w Białobrzegach nie było, spłonął w czasie trwania frontu. Ojciec postanowił przenieść się na Ziemie Odzyskane, gdzie czekały pustoszące domostwa. Osiedlił się w Bartoszycach, w woj. olsztyńskim, w małym, robotniczym mieszkaniu bez wygód.

Ojciec, Bolesław Kojkało, przżył 86 lat i zmarł w 1985 roku, matka Jadwiga Kojkało, przeżyła ojca o 10 dni, mimo, że była od niego o 10 lat młodsza. Ostatnie lata życia spędziła, będąc w głębokiej demencji, z powodu choroby Alzheimera. Umierający mózg nie odbierał rzeczywistości, lecz wracał ciągle do przeżyć z odległej przeszłości. Matka zrywała się, przerażona mówiła: „-jaka tu głusza, tylko wilki wyją”, to Sybir wracał ciągle koszmarem.

Mówi się, że nieznaną jest etiologia zespołu Alzheimera, ja myślę, że było to dalekie echo syberyjskich przeżyć, które we wszystkich nas, dawnych zesłańcach, pozostawiły głęboki, niezatarty ślad.

Celina Janina Wiszniewska z d. Kojkało.

Celina

© ARCHIWUM WSCHOŃNIE

11-200 Bartoszyce, woj. Olsztyn
ul. Traugutta 20/24. tel. 20-52